

Refleksje na tle wojny (handlowej), którą przegramy

Niedziela, 17 sierpnia (06:00)

Naszym elitom politycznym warto dziś przypomnieć znaną od wieków prawdę, że gdy zaczyna się wojnę trzeba wiedzieć z góry jak ją zakończyć. Dotyczy to również wojenek handlowych, które mogą (bywało, bywało) przekształcić się w wojny prawdziwe. Warto również wiedzieć, po co zaczyna się jakąkolwiek wojnę, w tym obecną wojnę handlową z Rosją.

Do dziś chyba nikt tego nie wie, bo nie można poważnie traktować zidiociałych wypowiedzi, że celem "sankcji" nakładanych na Rosję jest wywołanie wewnętrznego przewrotu, który "obali Putina": tego rodzaju poglądy obnosiły po "opiniotwórczych" mediach różne autorytety, a rząd tego jednak nie zdementował.

Czy to jest celem wywołania m.in. przez nas wojny handlowej z tym państwem?

Przypuszczamy jednak, że tak, bo jest to analogiczne awanturnictwo polityczne jak w przypadku Iraku, Afganistanu, Libii, Syrii (długa lista), gdzie wojny handlowe ("sankcje") przekształcone później w wojny militarne doprowadziły do milionów ofiar, zniszczenia gospodarki i powstania sił politycznych, które również bez jakichkolwiek skrupułów dążą do rewanżu za wyrządzone krzywdy.

Nota bene niedawno uzyskaliśmy wiarygodne informacje, że elitą radykalnych ruchów islamskich walczących (dosłownie, z bronią w ręku) w tych państwach są... obywatele państw Unii Europejskiej i USA (byli imigranci). gdy zwyciężą w swoich byłych ojczyznach, gdzie przecież są mniejszością, czy nie wpadną na pomysł, aby zniszczyć zramolałe państwa, które dały im nowe obywatelstwo? Chyba jest to prawdopodobne.

Rosja to jednak nie Syria czy Irak: tu "sankcje" nie zmienią władzy. Z Europy Zachodniej musiałby ruszyć kolejny zaplombowany pociąg z jakąś kliką, która za europejskie i amerykańskie pieniądze miałaby zniszczyć - tak jak przed 95 laty - Rosję od wewnątrz.

Jedynymi kandydatami do tej roli mogą być tylko islamscy radykałowie, którzy po wymordowaniu milionów ludzi ogłosiliby na terenie rozczłonkowanej Rosji jakieś kalifaty (już ponoć jest groteskowy "Kalifat Kaukazu").

I tu historia się powtórzy: tak jak bolszewicy chcieli przy pomocy ogłupiałych Rosjan wrócić do swojego matecznika - Starej Europy, tak i islamscy radykałowie wychowani

przez zachodnich rusofobów też rzucają się do gardła swoim głupekowatym promotorom. Historia lubi się powtarzać, zwłaszcza w swoich negatywnych scenariuszach, gdy tworzą ją niedouczeni historycy.

Nie będę zadawać oczywistego pytania, czy my Polacy, poza obowiązkiem zjedzenia wszystkich niewyeksportowanych do Rosji jabłek, mamy pomysł na korzystne dla nas zakończenie wojny handlowej z tym państwem?

Znów nie biorę pod uwagę wypowiedzi podżegaczy wojennych, którzy wprost nawołują do militarnej wojny z Rosją naszego kraju i tylko trochę się martwią, że "zachodni sojusznicy" jak zawsze oleją nas, więc przegramy nie tylko pierwszą kampanię, ale i całą wojnę. Tej wojny nie będzie.

Nikt nie chce umierać po to, aby bronić **interesów** zagranicznych hipermarketów czy banków, których w chwili jakichkolwiek konfliktów już u nas nie będzie. Niedawno jakiś celebrowany w liberalnych mediach celebryta opowiadał nam, że zagraniczne koncerny mają tak duże interesy w Polsce, że będą bronić nas przed rosyjską inwazją. Tak: dla ochrony blaszanych bud, w których sprzedają swoje towary, zmuszą swoje rządy do wysłania wojsk (batalionu czy kompanię?) aby zginął od rosyjskich rakiet?

Jakie aktywa w Polsce mają bronić zagraniczne banki? Przecież poza budynkami (kupionymi za bezcen) nie mają i nie muszą mieć żadnych aktywów.

Ale to nie jest najważniejsze. Jakoś ów celebryta nie zadał pytania, czy my, Polacy, będziemy chcieli ginąć w interesie głupiej polityki? Sądzę, że nie. Gdy żołnierze nie chcą umierać za swoich władców, nie ma armii tylko stado potencjalnych jeńców.

Czy ktoś może sobie dziś przypomnieć pierwsze miesiące wojny niemiecko-sowieckiej rozpoczętej w dniu 22 czerwca 1941 r.? Wtedy kadrowa "Armia Czerwona" ze sztandarami i przy dźwiękach orkiestr wojskowych potrafiła poddawać się przeciwnikowi, który miał dziesięć razy mniej czołgów, samolotów i armat.

Ale zwyciężał, bo żołnierze i dowódcy chcieli walczyć. Nie będę zbyt dosadny i nie zadam pytania, czy wychowane w III RP lemingi i bezrobotni mieszkańcy wyludniających się wsi i miasteczek będą chcieli ryzykować zdrowie i życie w starciu z kimkolwiek, zwłaszcza gdy będzie on od nas silniejszy? Szkoda gadać, bo dobrze wiemy, o czym myśli to pokolenie, które kwalifikuje się w sensie wiekowym do ubrania w kamasze.

Chcą stąd jak najszybciej prysnąć, bo teraz - w atmosferze już rozpoczętej "III wojny światowej" (tej z "terroryzmem", którą głośzono swego czasu w Waszyngtonie) jest to najlepszy sposób rozwiązania swoich problemów.

Znów przypomnę, że znacznie większa, o nieporównywalnie wyższym morale armia II RP poddała się w chwili, gdy politycy (i żołnierze) uznali opór za bezcelny ("z lepszymi Sowietami nie walczyć...").

A tak zupełnie na marginesie: nie wierzę w defensywną wartość armii zawodowych, bo opór, obrona, wymaga wiary w sens walki, której nie rodzi żaden rozkaz: ona musi tkwić w sercach i głowach każdego z żołnierzy. A jaka jest tu determinacja zawodowych żołnierzy, którym jedzenie musi przywozić firma cateringowa, bo oni nie chcą już obierać kartofli?

Nie będę dalej znęcać się i biczować tych, którym marzy się nowa wojna polsko-rosyjska. Ich poglądy nie mają obiektywnie żadnego znaczenia. Faktem jest wojna handlowa, którą w sensie ekonomicznym przegramy. Ile stracimy? Pięć czy dziesięć miliardów złotych? Ilu producentów sprzedających do Rosji zamknie swoje interesy lub ograniczy produkcję? Ilu ich pracowników pójdzie na bruk?

Dlaczego nasze skromne interesy sadowników spod Grójca nie mają dla polityków żadnego znaczenia? Odpowiedź jest banalna: polityka w naszym kraju nie jest podporządkowana interesom ekonomicznym polskiej gospodarki. Mamy rządy specjalistów od wydawania pieniędzy, które ktoś inny zarobił.

Witold Modzelewski
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego
Instytut Studiów Podatkowych